



Pismo miesięczne z obrazkami

— wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. —

Redaktorka i wydawczyni:
MARJA WYSŁOUCHOWA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.



W rajskim ogrodzie są pola szerokie, rozległe łąny, jak kobierzec miękkie, za nimi gaje liljowe i z najcudniejszych róż plecione płoty. W liljowych gajach po ciemnych ścieżkach Najświętsza Panna się przechadza co dzień, a lilje przed nią kłonią głowy białe i pod Jej stopy woń zlewają świeżą i złocą ślady Jej nóżek na piasku.

*) Marjan Gawalewicz, literat: powieściopisarz i redaktor, — przebywający stale w Warszawie, ze-

Rajska Pasterka.

LEGENDA. *)

Po kwiatnych łąkach pasą się owieczki, śnieżnej białości pasą się baranki, same niewinne dusze dobrych ludzi, których Pasterką jest Marja Panna; kiedy nad nimi rączkę Swą podniesie z błogosławieństwem na znak łaski Swojej, białe ich runo bielszą barwą świeci i księżycowe z siebie blaski sieje.

brał skrzętnie legendy, krążące wśród ludu o Matce Boskiej i ogłosił drukiem pod tytułem: «Królowa niebios» we wspaniałej, kosztownie wydanej, ślicznymi obrazkami ozdobionej księdze. Jedną z tych legend — wraz z odpowiadającym jej obrazkiem — podaje właśnie nasza gazetka.

Do tej owczarni Matka Boska zbiera
wybrane tylko duszyczki ze świata.

Gdy taka dusza po raz pierwszy wej-
dzie na niebotyczny gościniec wieczności
i nie wie, kędy obrócić się trzeba, staje na
drodze skromna, załężniona i widząc wrota
zamknięte do nieba, a w dole piekło przed
sobą otwarte, płacze cichymi łzami i wy-
rzeka:

— Nie płacz ty, nie bój się piekła go-
rącego, ja cię zawiędę do Raju wiecznego;
będziesz się pasła na wieki już w Raju,
białą owieczka po zielonym gaju!..

Nieraz tak całe dusz błędzą gromady,
nie mogąc drogi znaleźć ani miejsca i cho-
dzą z płaczem, szukając przytułku.

Idą na cmentarz i proszą:

— Cmentarzu, weź nas i przyjmij i



RAJSKA PASTERKA.

— Gdzież mi tu, biednej, podziąć się
i w którą nieznaną drogą skierować się
stronę!..

Pastuszka Święta wówczas przed nią
staje i aby biedna dusza nie zbłądziła, wie-
dzie ją z sobą gościńcem wieczności i mówi
do niej łaskawie przez drogę:

schowaj w mogiły, abyśmy spokój do dnia
sądu miały!..

A cmentarz na to!

— Nie mogę, nie mogę, boście bez
świętej pomarły spowiedzi!

Idą pod kościół i proszą:

— Kościele, otwórz twe wrota i wpuść

nas do siebie, będziemy mieszkać pod two-
jem sklepieniem i za oltarzem klęczeć na
wiek wieków!...

• A kościół na to:

— Nie mogę, nie mogę!...

Idą na lasy, zawodząc żałośnie:

— Lesie, ty lesie, schowaj nas w swym
gąszczu, nakryj nas cieniem i napój swym
chłodem, bośmy się trudem życia uznoili,
bo wypoczynku łakniemy i ciszy!

A las im szumem odpowie:

— Nie mogę!...

Więc się zmęczone dusze wloką dalej,
idą do ognia i proszą;

— Ty, ogniu, zlituj się przeciw, chwyć
nas w swe płomienie, abyśmy w tobie na
wieki gorzały, bo nas chłód mroźny na
ziemi przejmował, bośmy od zimna i krze-
pły i drżały!...

A ogień syczy:

— Nie mogę, nie mogę!...

Idą nad wodę dusze utrapione i po-
chylone nad nią, płaczą:

— Wodo, zabierz nas w swoje krysz-
tałowe tonie, bośmy spragnione i zeschłe,
jak liście, życia spiekotą i wiatrem zwa-
rzane!...

Lecz woda szemrze:

— Nie mogę, nie mogę!...

Więc upadając ze znudzenia, dusze pod
samą piekła dostają się bramę, z rozpaczą
ręce łamią i wołają:

— Piekło, do ciebie przychodzim, zbłą-
kane, zabierz już ty nas do swojej pie-
czary!... Pan Jezus o nas wiedzieć nie chce,
cmentarz nam mogił odmawia, a kościół
schronienia, ziemia i lasy, i ogień i woda
przytułku dla nas, nieszczęsnych, nie mają.
Piekło, ty weź nas, ty pochłoń na wieki,
ty usłysz nasze błagalne wołania!...

I piekła bramy zgrzytają w zawiasach
i bucha ogień, zionie żar straszliwy, a w o-
gniu ku nim huczy głos:

— Więc wejdźcie!...

Lecz dusze nagle srogi lęk zdejmują
na widok onych czeluści piekielnych i tej
zaguby niechybnej... truchleją; strach je na
ziemię powala, jakoby zboże skoszone na
łanie i drżąc ze strachu, szlochają i krzy-
czą: »Panienko święta, a ratujże ty nas,

coś Matką naszą, Orędowniczką i Wyba-
wicielką!«

Najświętsza Panna w gwieździstej ko-
ronie, w tęczowym płaszczu królewskim się
zniza i nad duszami uczyni znak krzyża
i nim je zdąży piekiel schwytać, na-
krywa wszystkie połą swego płaszczu.

Potem zgarnawszy duszyczki struchlałe,
jako pasterka staje na ich przodzie i rajską
drogą ku niebiosom wiedzie zbłąkanych
owiec swoje stadko białe.

Nie zawsze jednak i nie w każdej do-
bie ta miłosierna Pani tak łaskawa, — nie
wszystkim równe zmiłowanie dawa, chociaż
je nawet umiłuje sobie; bo kiedy które
zejdą z tego świata, całej ze siebie nie zma-
zawszy winy, lecz się Jej łasce poleca mat-
czynej; Ona te dzieci niedobre i grzeszne,
sama pokutą z ziemskich plam oczyszcza,
i by je rychlej zbawić miłosiernie, wodzi je
ścieżką przez kołące ciernie i po kamie-
niach, co ich stopy ranią, — a one idą chę-
tnie za swą Panią i słyby środkiem pie-
kielnych czeluści, krzepione wiarą, wytrwałe
nadzieją — wiedząc, że ile krwawych łez
wyleją, tyle im grzechów Pan Jezus odpu-
ści. Najświętsza Panna, w łaskach nieprze-
brana, wstawia się sama do Chrystusa Pana,
by wpuścić kazał duszyczki do nieba, które
za progiem kulą się i płaczą i do bram
jego nadarmo kołaczą. A nawet z bronu
swojego się schyla i słucha między anio-
łami swymi, czy tam jęk jaki nie leci od
ziemi?...

A gdy posłyszysz błagalne wołanie du-
szy, co w niebo wspiąć się nie ma siły i
wzdycha, ciężko cierpieniem znękana, i pada
w prochu na oba kolana i zmiłowania drżą-
cym głosem woła — wtedy posyła z pomocą
anioła, aby ją podjął, jak złamane kwiecie
i wziął na skrzydła lekko, niby dziecko i za-
niósł w górę z ziemskiego padołu...


Sama też dużo na ziemi wylała i w ser-
cu czuła siedmiorakie miecze, więc jako
Matka ludzi litościwa, co zna ich żywot
i ich dolę ciemną, w swem miłosierdziu bez-
granicznem rzecze:

— Niechaj ła żadna nadarmo nie
spływa, niechaj i człowiek nie płacze da-
remno!

Marjan Gawalewicz





Co więcej 

 kochać?...

*Nie wiem, co więcej kochać
Nad tę polską ziemię,
Którą nam chce wydrzeć
Z rąk niemieckie plemię...*

*Nie wiem, co więcej kochać
Nad to słońko boże,
Co już wstaje, ledwie zajdą
Raniuteńkie zorze...*

*Nie wiem, co więcej kochać
Nad tę naszą strzechę,
Pod którąśmy wzrosli
Na Polski pociechę...*

*Nie wiem, co więcej kochać
Nad te barwne kwiaty,
Co wieczorem miłe wonie
Niosą nam do chaty...*

*Nie wiem, co więcej kochać
Nad te nasze pola,
Gdy je rolnik orząc,
Woła: „Wołki moje — hola!”*

*Nie wiem, co więcej kochać
Mamy tu, na ziemi,
Nad to niebo, rozsrebrzone
Gwiazdami jasnemi...*

*Nie wiem, co więcej kochać
Nad te nasze góry,
Nad które, rozwieszona,
Lśnią modre łozury...*

*Nie wiem, co więcej kochać
Nad te polskie stroje,
Nad tę mowę naszą polską,
Nad polskie dziewczęta!...*

*Nie wiem, co więcej kochać
Nad te nasze lasy,
Rozśpiewane, rozszłone
Kropelkami rosy...*

*Nie nie można więcej kochać
Nad ten kraj nasz polski,
Nad te wody Ołzy, Wisły,
Nad miasta i wioski...*

*Nie wiem, co więcej kochać
Nad wód naszych tonie,
Gdy nad niemi pieśń pastuszka:
„La! la!” z dala dzwoni...*

*O, ty ziemio polska, nasza,
Ziemio uchochana,
Za cię wznosim ręce nasze
Ku Niebu, do Pana...*

*Czyś ty w doli, czy niedoli,
Czy cię wróg mi szpeci,
My zostaniem wierni Tobie,
Polsko, — twoje dzieci!*

W Mnieku na Śląsku.

Wł. Górniewicz.



Skrzypki grają — bieda gra...

»Na Koninie bory*) sieką!« — leci wieść od chaty do chaty i weseli zawsze jednako posępne twarze biednych ludzi, bo i ma czem weselić...

Bory, to długa łąka u stoku góry, własność całej wsi Koniny. Nie ma granic, ni kopców, a gazdowie po skoszeniu dzielą się kopami. W połowie sierpnia zaczyna się jej »sieczenie«. W piękną, jasną noc księżycową wychodzi z kosą najstarszy gazda do borów, a gdy echo osełki, jak tokanie głuszcza, przeleci po wsi, jakby za czarodziejskiem zaklęciem zjawia się cała gromada, klepie kosy, nabija i wnet bory ożywają się szaremi postaciami. Ciemne szeregi chylą się, to podnoszą, miarowo, w równym takcie, a miękka trawa z szelestem pada na długie, wilgotne pokosy... Czasem pieśń duszna, zgrzytliwa wyrwie się z gardła, nędzą zdławionego i w czystszych echach obje się o pobliską górę. czasem ostrzenie kosy, krótkie, urywane zadźwięczy i ku okółom*) pustym polecie... i szelest znów ten sam, jednostajny, pomieszany z ciszą — i migotliwe błyski ostrych kos...

»Bory sieką!...« — Dziewczęta się radują, bo po sieczeniu — grabienie, po grabieniu — kopienie, a przy kopach, nocą księżycową muzyka i tańce... Toż to uciecha! zabawa, raz do roku! zwyczajowe, nocne święto!.. »Ino, czy będzie pogoda?«

»Bory sieką!...« — dobiegła wieść do mnie i zbudziła silną chęć zobaczenia borów, setek kóp wonnego siana, szwarych dziewcząt i wartkich tańców... Dzień jeden i drugi pogodny, gwiazdy gęsto świecą, o deszczu ani słycho!... Na trzeci dzień, chęć zamieniła się w czyn, poszedłem...

Kawałek już było z południa, kiedy przekroczyłem wysoki próg w chałupie podwójnego, którego dom tuż, tuż koło borów. Wszedłem do piekarni.

*) Borami nazywają górale »mocarzyska«, mokre pastwiska i łąki, ale używając nigdy tego wyrazu na oznaczenie lasu.

*) Okół — stodoła.

Podwójci, dobry mój znajomy, zerwał się z ławki, gdzie strugał konewkę i wyciągnął ręce na powitanie. Uścisnęliśmy się serdecznie.

— Przejdźmy do izdebki!... — zaproponował — bo tu ani usiąść kaj nima, ani nic...

Przeszliśmy. Wizdecce widno, jasno. ściany jak malowane, słowem jak u porządnego gazdy.

— Cóż tu u was słychoć? — pytam.

— E, stara bieda! — pcha się ta tak pomalućku, jak może...

— No, chwała Bogu, że przynajmniej stara bieda, nie nowa...

— I za toć Bogu dziękować. A u was ta co nowego?

— U mnie?... nic nowego.

— No, przecie?...

— Prawdę mówiąc, stara bieda. A jutro, Bóg wie, co przyniesie...

— Oj, to jutro, to jutro!... — pokiwał głową podwójci. — Ot, może się mleka napijecie? — zwrócił się do mnie.

— Z największą ochotą.

— Tereska! — zawołał przez sien.

W te razy weszła jego żona.

— Tereski niema, poszła do siana na bory! — mówiła prędko i głośno.

— O ratunczku! — zawołała, zobaczywszy mnie. — Telo czasy być tak niedaleko i nie przyjsć!... Spodziewali my się was w tamtą niedzielę, umyślnie kupitach chleba, czekaliśmy, a tu nic...

— No, nie gadaj, ino daj mleka! — przerwał jej mąż.

— A jakież wolicie: maślanke, czy słodkie? — spytała szybko.

— Maślanke, maślanke!



— Zamieszła w maślniczce, nalała do białego garnuszka. Wychyliłem jeden za drugim.

— Smakuje? — pytała wesoło.

— Smakuje, smakuje!

Gwarzyliśmy tak długi czas, dość długi, bo już Tereska przyszła od siana i odleciała po chleb do karczmy. Więc z chęcią, czy bez chęci musiałem jeść, bo mnie raczyli... A jak cię troje raczy, to się sam jeden nie oprzesz...

— A żeby nie bory, tobyście pewnie do nas nie zajrzeli? — zagadnęła filuternie gospodyni.

— Prawdę rzekłszy, tom głównie dla borów przyszedł. No, a potem i znajomych odwiedzić.

— O znajomych to mniejsza — podjął podwójci — ale co się w nocy ubawicie, to nie pożałować!

— Będą tańce! — zawołała wesoło Tereska.

— Tobie ino tańce w głowie! — karciała ją matka.

— A niech tańczy! niech się dziewczę zabawi! — broniłem jej.

— O, dyc one wszystkie takie — mówiła matka. — Ino się parobek przejdzie koło izby, to ta myk w pole!... i już tyrtyr poza węgły... Wnetki-by na drogę za nim leciała.

Dziewczę się zarumieniło i, kryjąc zapaską oczy, wybiegło z izby.

— Na dziewczę wygadujesz, a samaś tak robiła! — rozśmiała się podwójci.

— Ja? ja za tobą latała?!..

— Ho! ho! jeszcze jak!... Pamiętasz, kiedyś siano grabiła sama... ja ci przyszedł pomódz...

— No, no, daj spokój! Tu nie spowiedź...

Rozśmieli się oboje.

Tymczasem wieczór się szybko robił. Słonko spadało za góry i już mrok schodził coraz czarniejszy. Bydło pasterze przynagli z pastwisk. Gaździna z córką doily krowy; ojciec strugał konewki, gwarzyłem z nim, siedząc na końcu ławki.

— Ile takich konewek na dzień zrobicie? — spytałem.

— Dwie, a czasem trzy.

— A po wiele sprzedajecie jedną?

— Po dwie szóstki.

— To tanio.

— Ho, moi kochani! Trza czasem i za piętnaście centów sprzedać, jak bieda dożenie, a na sól braknie...

— Wam, myślę, nie brakuje? Przecie grunt nie mały...

— Cóż z tego gruntu, kiedy do niego ciągle trza dopłacać. Na przednowek kupuj, na obsianie kupuj, zawdy i zawdy.. Człek się napracuje na tej świętej ziemi, a na życie nie zdole z niej wydłubać.. Przyjdzie czas, dzieciska podrosną, trza będzie o nich pomyśleć. Z dziopą zięciowi trza dać parę stówek, a tu skąd ich wziąć?... Po mojej śmierci — bo człek nie będzie wiekował — synowie rozerwą grunt, podzielą i będą jeszcze bardziej biedować... Ja ledwo wyżyję, a z czegoż oni?... Wiecie co? Kie se pomyślę o tem i tak spojrzę w tę przyszłość, to mi się w oczach ciemni. Nie mogę se rady dać!... Co to będzie? co to będzie?...

Zwiesił ręce, oczy rozwarł szerzej i patrzył nieruchomie przed siebie... Gdzieś głęboko, za żrenicami, przeczuć można było łzy, zrodzone z turbacji, nie tyle o siebie, ile o los dzieci. Łzy te padały mu na serce, trudy i tak już bólami zatrute życie.

Siedział tak chwilę, a ja nie przerywałem milczenia. Wreszcie podniósł głowę.

— Ha, no, moc boska na wszystko!... — zakończył z rezygnacją.

— I ludzka... — dodałem.

Machnął ręką z lekceważeniem i wziął się



energicznie do strugania konewki, aż wióry do okna leciały.

Matka z Tereską wróciły ze stajni i wnetki ustroiły wieczerę. Jedna miska ziemniaków, druga kwaśnego mleka. Jedliśmy drewnianemi łyżkami, gwarząc wesoło.

Po wieczerzy, późnym już wieczorem, ruszyliśmy wszyscy ku borom.

Noc była śliczna. W księżycu światło błękitniały lasy, szarzały wyręby, a z dała występowały olbrzymie, mroczne góry.

Zorza na zachodzie czerwieni się, bieje.. i powoli rozplywa w jeden jasny, iskrami zasiany błękit...

Zbliżaliśmy się do borów. Szare cienie wychodziły z wysokich zbóź, zbliżały się, rosły — i urosły w sporą gromadę ludzi. Najwięcej było młodych parobczaków i dziewcząt. Paru starszych gazdów przyszło przypomnieć dawne lata i popatrzeć na tańce, lub też dozierać młodych.

Chłopcy otoczyli mnie kołem i pogwarka lekka, wesoła płynęła chyżo, jak roztoka leśna. Wreszcie podzieliliśmy się na gromadki, a potem na dwójki. »We dwoje najweselej« — powiadają ludzie.

Podwójci siedział opodal na niskiej kopce siana. Podeszedłem ku niemu.

— Wolicie do mnie, jak do dziewcząt? — spytał żartobliwie.

— Wolę.

— Dziwny z was człek. Wolicie ze starym gwarzyć...

— Nauczę się czego przy was.

— Telo umiecie, co świat!...

— Ba, gdybym wiedział, co świat!... tobym umiał coś. A tak — nic.

— Książki macie w głowie...

— Ale w książkach niema świata.

Popatrzał na mnie. Niby zastanawiał się... Nic nie odpowiedział.

— Jaka piękna noc! — przerwałem milczenie.

— Piękna! Będzie pogoda, chwała Bogu. Da jutro jęczmień zebrać... Żeby ino tak wytrzymało choć do niedzieli!

— Cicho! Słyszycie? Jasiek gra... — ozwało się parę głosów.

— Jasiek idzie!... — powtórzyły cienie głosy dziewcząt.

— Cicho!...

Wszyscy zamilkli naraz. Szepty tylko gdzieniegdzie zdradzały ogromną radość i zaciekawienie...

Wsluchiłem się uważnie w ciszę... Zdała dolatywało ciche kwilenie skrzypiec, miękkie, łzawe, melodyjne... Żałośnie, przeciągłe tony cichły, to potężniały, jak skarga pokutującej duszy... Młody muzyk grał własny poemat, odczuty prostem sercem... Myśli zlewał na struny, wyciągał je smyczkiem i rosła pieśń serdeczna — taka prosta, taka łzawa i bolesna... Słyszałem w dźwiękach, jak skarżył się:

»Czemu ja się nie urodził wilgą na polanie!
Pilbym ci ja srebrną rosę na noc, na świtanie...

Czemu ja się nie urodził brzozą na potoku,
Żeby mi się złote słonko przezierało w oku!...

Czemu ja się nie urodził jodłą w harnym lesie,
Żebym słuchał bez dzień cały, jak się echo niesie....

Ino ja se, kieby smerek, w samotności żyję —
A nademną wiatier płacze, abo wicher wyje...«

Kończył tę pieśń bez słów wybuchem dzikich tonów, jakby chciał z żalu na los struny pozrywać... Już był niedaleko. Dojrzał zgromadzonych i na ich swojską nutę zagrał skoczną, ale rzewną piosenkę. Ożyli zasłuchani... Parę dziewcząt odśpiewało zwrotkę na tę samą nutę. Jasiek grał i, powtarzając melodję, zbliżał się powoli ku nam...

— Pięknie gra... — ozwał się do sąsiada. — Jak te skrzypki mówią za niego, za całą duszę... jak się skarżą żałośnie! Słyszycie, jak te skrzypki grają?...

Podwójci podniósł powoli głowę i odrzekł prawie bezdźwięcznie:

— Skrzypki grają... edyc grają!... a mnie wiecznie bieda gra...

I jeszcze niżej głowę zwiesił.

Władysław Orkan.





Zaścinoce.

W pobliżu Trembowli, miasta, wstawionego w dziejach naszych bohaterskim czynem Zofji Chrzanowskiej, w oddaleniu ledwie trzech kilometrów od zamku, leży mała wioska, Zaścinoce.

Ruskie brzmienie tej nazwy wywodzą od położenia wsi »za ścianką«, t. j. za la-

scy, Czajkowsy, Jaworscy i inni, którzy ani zamożnością, ani strojem nie różnią się prawie od swoich sąsiadów włościan.

Jakimże sposobem — zapytacie mili czytelnicy — i kiedy doszli ci ludzie do tytułu i klejnotu szlacheckiego, które już dzisiaj — co prawda — nie dają żadnych materialnych korzyści, mają jednak znaczenie



ZAŚCINOCZE.

skiem, pokrywającym stoki jaru, lecz równie dobrze możnaby ją wytlómaczyć przekreśleniem polskiego słowa zaścianek, które oznacza siedzibę drobnej, zagonowej szlachty.

W samej rzeczy bowiem od niepamiętnych czasów — mieszkają tutaj liczne rodziny szlacheckie, jak: Bieganowscy, Kozłowski, Krasodębscy, Łomniccy, Strzygiel-

historyczne, jako drogie pamiątki po przodkach?

Otóż zdarzało się często za dawnych czasów, że gorętsi włościanie, a nawet całe ich oddziały wyruszały w pole przeciwko nieprzyjacielowi i często w pierwszym szeregu szli bohaterowie siemniężni w bój śmiertelny za wiarę i ojczyznę, nie ustępując szlachcie w odwadze, ani w poświęce-

niu. Za te gorące porywy, za bohaterские i szlachetne czyny wojenne mianowali królówie polscy takich włościan szlachciami, nadawali im herby na pamiątkę tych czynów, a zarazem obdarzali ich gruntami i uwalniali od poddaństwa i obowiązków pańszczyźnianych.

Tak i ojcowie naszych Zaścinczan chlubnie odznaczali się w walkach z najezdźcami, a podczas częstych oblężeń twierdzy trembowelskiej brali liczny udział w obronie zamku; — korzystali też w całej pełni ze wszystkich przywilejów szlachectwa. Pamięć o położonych dla kraju zasługach, tudzież wolność szlachecka, wzbudziły w nich pewną dumę i poczucie godności osobistej.

zaraz dodać muszę, że przecież dla oświaty i dla języka przodków nie są zupełnie obojętni, owszem własną zapobiegliwością, rzec można instyktowną, starają się złagodzić skutki zapomnienia o nich przez społeczeństwo. Własnym kosztem utrzymują bowiem wędrownego nauczyciela, który, chociaż sam człek prosty i nie uczony, to przecież dokáže tej sztuki, że każde dziecko bodaj podpisać się i modlitwę z książki polskiej wyczytać potrafi.

Coby to było dopiero, gdyby tam w osobnym budyneczku umieścić nauczyciela świętego, rozumiejącego doniosłość swego posłannictwa! Tożby do tej nowożytniej fortecy ducha garnęli się młodzi wojownicy, tożby to z piersi młodzieży powstał mur obronny,



Obrabianie brusków do ostrzenia kos.

To też tem smutniej, że dzielni ci ludzie, potomkowie zasłużonych obrońców ojczyzny „nie kochają i nie szanują mowy ojczystej, że w stosunkach z sąsiadami i w życiu domowym używają przeważnie języka ruskiego, chociaż i polskim nie źle władają.

Prawda że Zaścincze jest jedną z czterech drobnych gmin w pow. trembowelskim, które nie mają szkoły, nie mają więc możności korzystania ze światła nauki, tego słońka, co to i umysł oświeca i serce rozgrzewa i miłość najdroższego klejnotu narodowego, — miłość mowy ojczystej roznieca i utrwała. Jednak na chwałę Zaścinczan

twardszy od potężnych murów trembowelskiej warowni! Reszty dokonałyby książki Mickiewicza i innych wieszczów naszych, któreby sznurkiem ciągnęły pod strzechy!

Lecz to jest piosenką, daj Boże, niedalekiej — przyszłości; wróćmy jeszcze na chwilę do dzisiejszego Zaścincza.

Schludne domki szlacheckie, z budowy, rozmiarów i urządzenia wewnętrznego podobne zupełnie do chat włościańskich, wznoszą się w głębi jaru, po obu bokach rzeki Seretu, więc i wody jest tu dostatek i ostry wiatr podolski, hulający zapalczywie po stepowych wyżynach, nie ma tak swobodnego przystępu. mniej też mieszkańcom wioski

dokucza. Tulą się więc osady tamtejsze do stoków dobroczynnego jaru, które nadto w łonie swoim mieszczą skarb, dający okolicznej ludności źródło skromnego wprawdzie, ale stałego zarobku. Są to łomy sławnego kamienia trembowelskiego, którego olbrzymie pokłady leżą właśnie na obszarze Zaścincza. Znaczna ilość robotników, mężczyzn i niewiast, pracuje tutaj ochoczo przez większą część roku. Mężczyźni zajmują się wyłamywaniem olbrzymich głazów kamiennych na pomniki i figury, i mniejszych, służących do wyrobu kostek brukowych i płyt na chodniki, znanych w całej Polsce.

Kobiety i dziewczęta krzątają się pilnie około wyrobu podłużnych osełek, czyli — jak tutaj nazywają — brusków do ostrzenia kos, setki tysięcy tych kamyczków rozchodzi się corocznie nie tylko po kraju, ale także i do Rosji i hen, na daleki wschód: do Persji i Chin.

Rycina nasza przedstawia trzy grupy robotnic, zajętych wygładzaniem, czyli szlifowaniem z grubsza obrobionych brusków, które z kamieniołomów znoszą tutaj parobcy. Jest to praca bardzo ciężka, polegająca na ciągnięciu tarciami dość dużego kamienia o cały szereg ustawicznie zwilżanych brusków, ułożonych na wązkim stołku.

A jednak nie znać tu znużenia, nie słyhać narzekania. Owszem praca odbywa się żwawo i ochoczo wśród wesołej pogadanki i śmiechu. Niekiedy godzinami całemi brzmia ścianki okoliczne echem to tęsknych, to wesołych śpiewek ruskich, przepłatanych często ochoczym krakowiakiem.

Widać więc, że wszyscy: Polacy i Rusini, szlachta i chłopci, stanęli tu zgodnie w jednym szeregu, a zatopieni w ciężkim, wyteżającym trudzie, wszyscy tu jednakowi, wszyscy równi, pracowici, biedni.

J. A. B.



POGADANKA NAUKOWA.

Śpiewaki.

Do śpiewaków należy największa część ptaków, żyjących u nas przez lato, a częściowo także przez zimę. Dział ten obejmuje nie tylko kilka najpiękniejszych, ale zarazem wszystkie ptaszki, zachwycające nas miłym śpiewem swoim. Tu należą: szczygły, czyże, zięby, gile, sojki i filuterne sikory, też wcale nie źle wystrojone, mianowicie sikora modra, u ludu żydówką zwana; tutaj należą kosy, drozdy, słowiki i inne pokrzywki z gajówkami i skowronkami.

Między tą skrzydlatą czeladką bożą, piękną i wesołą, obejmującą przeszło sto gatunków, które przebywają w kraju naszym, niema żadnych bezwzględnie szkodliwych, owszem są one wszystkie wyławianiem niesłychanej ilości szkodliwych owadów jedyną przeciwko nim ochroną pól, ogrodów, łąk, sadów i lasów naszych.

Tak drozdy, do których należy kos, kwiczoł, wróbel samotny (drozd skalny) i pluszcz (kos wodny, w Tatrach korduskiem zwany), a których wszystkich w kraju naszym jest ośm gatunków, żywią się owadami, robakami, a gdy tych nie mają, jagodami leśnymi i ogrodowemi. Kos np. je poziomki, maliny, borówki, jeżyny (ostrzeżnice), bez, jarzębinę, a w ogrodzie nie gardzi wisienką, czereśnią, porzeczką i agrestem. Ale nie należy mu tego zazdrościć bo głównem jego pożywieniem, mianowicie na wiosnę, z początkiem lata i w późnej jesieni, gdy już nie niema z tego wszystkiego, są owady, których i w lecie nie omija, a przez to przyczynia się właśnie do tego, aby gąsienice i inne owady nie zniszczyły wiosennych zawiązków owocu na pomienionych drzewach i krzewach. W marcu widać go w sadach, zbierającego pilnie pod murami,

parkanami i w dołach inspektowych pająki, gąsienice motylów, glisty i inne robactwo, w kwietniu wraca znowu do lasu.

Pokrzywek jest u nas sześć gatunków. Do nich należą słowiki i jasnomuszka, żyjące samymi tylko owadami, potem raska, która, prócz wielu owadów, je także niektóre jagody i nasiona, np. bez czarny i czerwony, — gajówki, których żyje u nas przez lato osiemnaście gatunków, trzy rozmaite jaskółki, cztery mucholówki, w marcu i kwietniu zalatujące do nas goście, bo żyjąc owadami, źleby u nas wyszły w zimie, tatrzański pomurnik czyli mentel, wszystko to ptaszęta nieocenionej wartości dla ogrodów, sadów, pól i lasów.

Pewien bardzo gruntowny znawca ptactwa krajowego i obcego utrzymywał przez lat wiele kosztowny zbiór rozmaitych zwierząt żyjących. Częścią dla pomnażania tego zbioru, częścią na karm dla innych zwierząt wypływał on w okolicy różne, wielkie i małe ptaki w znacznej ilości. Prócz tego każdy leśniczy i ekonom musiał dostarczać pewnej ilości wron, srok, wróbli, trznadłów i sikor. Atoli skutek tego był bardzo niekorzystny: gąsieniczka z rodziny miernic przysiadła w tak wielkiej ilości agresty w ogrodach rzeczonoego właściciela, że przez długi czas nie zebrano ani jednej jagody. Od kilkunastu lat zaś, gdy tam poprzestano tępić sikory i pokrzywki, rok w rok z tych samych krzaków agrestowych zbierano do 30 korcy, a odkad sikorom dodawano nawet pożywienia, to już z latarnią nie znalazł szkodników w sadzie.

W zimie mianowicie, gdy szron powlecze gałęzie drzew liściastych, uważano, że wiele sikor, królików, bargłów, pełzaczów i królików ginie z braku żywności. Zwążywszy atoli nadzwyczajną użyteczność tych ptasząt, poradną jest rzeczą dodawać im nieco żywności.

Jaskółkom wprawdzie w ogóle u nas krzywdy nie robią. Zdarza się atoli, że im gdzieś gniazda zrzucają, a to zwykle wtedy, gdy już są gotowe, gdy nawet już samice zniosły jajka albo i młode się wykłuły, a to dlatego, aby nie opaskudzały ściany. Wszakże temu zapobiedz można w sposób wcale rozumniejszy i bardzo prosty, bez krzywdzenia tak użytecznych ptasząt, to jest wystarczy namydlić kąt, w którychby jaskółki chciały sobie budować gniazda. Na gładkiej, ślizkiej ścianie nie utrzyma

się błoto, jaskółka wnet to spostrzeże i poprzestanie na nic nieprzydatnej roboty.

Wróbli uważa wielu za szkodnika. Wskubuje on wprawdzie jęczmień i proso; więc też, sto lat temu, za króla Fryderyka, nazwanego Wielkim, zamyślano w Prusiech o jego zupełnem wytepieniu, a rząd płacił za główki biednych wróbli, które wraz z podatkiem oddawać kazano. Pokazało się atoli niebawem, że w miarę ubywania wróbli nietylko zboża uie przybywało, ale owszem ubywało, boć przybywało gąsienic w takiej ilości, że poprzestano odbierania główek wróbli z niecierpliwością wyglądano, ażeby się znowu nieco rozmnożyły. Wiadomo także, że już kilka razy starano się przewieść wróbli morzem do Nowej-Holandji, bo też trzeba wiedzieć, że wróbli nietylko same zjadają chętnie gąsienice i inne drobniejsze owady, a z kwiatów drzew owocowych wydziubują ich jajka, ale i młode swe karmią samymi gąsienicami. Wzięto rzecz tę na uwagę i przekonano się, że jedna para wróbli podczas potrójnego lęgu w ciągu roku spotrzebuje do 1000 gąsieniczek. Jest to dostatecznym dowodem użyteczności tych mniemanych szkodników. W pewnej wsi w Niemczech zdarzało się, że chociaż u wieśniaków chybiały owoce, w ogrodzie plebańskim zawsze bywały. I jakże się to działo? Wróbli, gnieżdżące się w wielkiej ilości na blizkiej wieży kościelnej, sprawiały to wyławianiem gąsienic. W czasie wojny siedmioletniej (1756—1763) wyniosły się wróbli z Gietynki. Wskutek tego gąsienice tak się zaczęły rozmnażać, że nie było można ograć się im.

Gawron żywi się niemal wyłącznie owadami i robakami, mianowicie pędrakami, żukami, glistami; do zboża bierze się on dopiero wtedy, gdy ziemia zmarznięta nie pozwala mu szukać ukrytych w niej owadów.

Kawka wreszcie żywi się myszami, owadami i robakami, jada też czosnek polny i rozmaite jagody, zboże, prócz owsa, i nasiona roślin strąkowych, tudzież resztki jakiegobądź jadła ludzkiego. Niekiedy porwie ona młodego ptaszka. W ogóle atoli jest ona ptakiem przeważnie pożytecznym.

Z powyższego pobieżnego przeglądu żyjących u nas śpiewaków, widać, że one rozliczne i ważne usługi oddają człowiekowi w leśnictwie, ogrodnictwie, sadownictwie i rolnictwie, jużto wyławiając krociami po większej części drobne, ale szkodliwe owady, ich gąsienice i jajka, — już też zapobiegając rozmnażaniu się chwastów nie-

użytecznych, zanieczyszczających pola orne i zasiewy wyjadaniem nasion tych chwastów w wielkiej ilości. One też wreszcie już to miłym śpiewem i wesołym świergotaniem, już też pięknem ubarwieniem piór dodają życia, wdzięku i powabu ogrodom, lasom, gajom, polom naszym, a tym sposobem stokrotnie nagradzają opiekę człowieka, której tak są godne. A przecież nie zawsze i wszędzie jej doznają, choć ta opieka nie wymaga prawie niczego więcej, jeno tego, aby tych lubych stworzeń nie niepokoić.

Tymczasem skowronki, czeczotki, czyże, marmurki, trznadłe i inne śpiewaki wychwytyje stadami próżniacza czereda ptaszników, zasypując nimi targi miast naszych, a słowiki pozwalają tysiącami wylądować obcym włóczęgóm z Prus za nikczemną opłatą chciwi tak brudnego zysku mniejsi i więksi właściciele, wieśniacy i niewieśniacy, aby to biedne ptactwo, pakowane do ciasnych klatek, setkami ginęło, a ów złodziej na niedobitkach zarobił tyle, aby aż do następującej wiosny wygodnie mógł próżnować i znowu przysiąc i okradać kraj nasz z najpiękniejszej ozdoby. Niema się czego wypierać, skoro rok w rok na dworcach kolei żelaznej w Krakowie zabierają takim włóczęgóm niemało tych ptasząt. Tam zaś, gdzie skutki takiego hultajstwa już się dały we znaki, łapanie ptaków użytecznych przez cały rok i raz na zawsze jest zabronionem, jak np. w Czechach, w wielkiem księstwie Hasyi, w księstwach szwarcburskich. Niechaj też nikt nie prawi, że takiemu hultajstwu tylko ustawy rządowe skutecznie zapobiedz mogą. Owszem każdy właściciel jakiegobądź posiadłości ziemskiej, wielkiej czy małej, może do tego doprowadzić, aby w jej obrębie nie działo się nic w tej mierze złego. A jak wiele może zrobić gorliwość pojedynczego nawet człowieka, piękny i zachęcający przykład tego mamy na sławnym znawcy i badaczu ptaków, Brehmie, który w całej okolicy, gdzie sam mieszkał, tak wszystkich zdołał przekonać o potrzebie ochraniańia pożytecznych zwierząt, że żadne dziecko, żaden chłopak nie zepsuł tu ani gniazdka, nie wybrał jaj lub młodych, i żadni rodzice nie pozwolą, aby dzieci iclr robiły coś podobnego. Oby też i u nas przykład tych zacnych i mądrych ludzi znalazł jak najliczniejszycy naśladowców!



Listy do „Zorzy“.

Krowodrza. W lipcu.

Wspomnienie z obchodu grunwaldzkiego w Krakowie.

O sławne wspomnienie obitość się o nasze serca stroskane i zapłakane! My, co od wieków pracujemy na podźwignienie Ojczyzny, wciąż jeszcze w niewoli i tylko pamięć słodka napawa serca nasze i ducha naszego unosi na chwilę.

Kilkotysięczna masa narodu postępuje z jedną myślą w duszy. Twarze widzę wesołe, jak kiedyindziej, każdy pragnie jak najprędzej wyrwać się ze szponów wrogów. Ale, Boże, niestety!... Patrzę dalej, widzę samych włościan w pochodzie. Jak ślicznie! nie brak im tylko kosy nabieć na sztorc i dalej na wroga...

Pochód staje nareszcie pod kościółkiem Marjackim i czeka na hasło do pochodu, a na wieży Panny Marji odzywa się głos strażnika, — taki rzewny i ileż się mieści w tym głosie grającym żalu i wspomnień!!

Przeszedliśmy znów ulicę Grodzką, zdążając wprost na Wawel, na zamek królewski — Ach, Boże! tu się objęła o moje uszy granie sławnego dawonu, starego Zygmunta na Wawelu — ten, rozmachany, płacze nad Ojczyzną... Naród postępuje z darami do grobu Władysława Jagiełły,



pragnie złożyć je i uczcić wiekopomną pamięć pogromcy Krzyżaków.

Po skończeniu całej ceremonii tłumy opuszczają mury wawelskie ze złą w oku i czekać będą, aż stary Zygmunt odezwie się z wieży, dając hasło zmartwychwstania. Idę na dziedziniec zamkowy — co słyszę? to musztra wiary polskiej!... »Bacność!« »Równać się!« Ach, jak miło brzmi ten rozkaz musztry naszej!

A chłopcy krowoderscy, z p. Chwastkiem na czele, maszerują dumnie, wąs podkręcając, a ja za nimi postępuję, marząc chwil kilka. Co w sercu było — tego nikt nie odgadnie...

Dochodzę do bramy, przed kościół i tu słyszę głos proszący:

»Proszę na szkołę ludową!«...

Mój Boże! wróg nie da na oświatę, choć na fortece nie żałuje milionów. — Musimy zebrać dla siebie na oświatę... Oj nie żałujcie na tę oświatę, składajcie cent do centa, a wzrośnie suma wielka i pięknie przysłużymy się Ojczyźnie.

Wiernie oddany sprawie narodowej,
czytelnik »Zorzy«, *Jan Trąbka.*



ROZMAITOSCI

Jubileusz Marji Konopnickiej. Do Komitetów, które się zawiązały w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu i na Śląsku Górnym, celem uczczenia najznakomitszej naszej poetki, przybył jeszcze jeden, a mianowicie Komitet włościański. Powstał ów Komitet głównie za staraniem Franciszka Wójcika, gospodarza z Wyciąż, byłego posła na Sejm, jego też obrano przewodniczącym.

Owoż 16. sierpnia odbyła się w Zakopanem narada delegatów, wysłanych przez wszystkie Komitety, a wzięli w niej udział także pp.: Wójcik i Cepuch ze wsi Bronowice wielkie pod Krakowem. Pośpieszył też na oną naradę i dzielny góral, Franciszek Orawiec z Poronina, a także góral z Zakopanego, Wojciech Brzega, znany Wam sławny rzeźbiarz.

Po bardzo długiej i wyczerpującej dyskusji, wyznaczono prawie jednogłośnie drugą połowę października, jako ostateczny termin mającej się odbyć głównej uroczystości jubileuszowej.

Na program mają się złożyć: Uroczyste nabożeństwo ranne, powitanie jubilatki w sali „Sokoła“ krakowskiego, mowy wygłoszone przez delegacje poszczególnych Komitetów, kantata, odśpiewana na cześć jubilatki, wręczenie darów i książki pamiątkowej. Wieczorem obiad i przedstawienie w teatrze. Omawiano także sprawę daru narodowego, który ma być ofiarowany poetce. Ma to być wygodny domek z cienistym ogrodem i kawałkiem gruntu, w zacisznej jakiej lekko górzystej okolicy zachodniej Galicji, — okolicy, sprzyjającej nadwątlonemu cokolwiek zdrowiu i dalszej pracy jubilatki. Po wyczerpaniu porządku dziennego, gospodarz Wójcik, który przewodniczył zebraniu, zamknął posiedzenie, dziękując zgromadzonym za liczny współudział.

Śpiewacy leśni a poeta śląski. Jeden z najzyczliwszych czytelników „Zorzy“, pisząc w liście swoim o wielkiem znaczeniu utworów Jana Kubisza dla Ślązaków, tak powiada w końcu: „Nasz drogi poeta jest to bardzo sympatyczna osobistość. Ma on serce otwarte nie tylko dla ludzi, ale i dla ptasząt. Jest za-

wołanym ptaczem. Umie każdy głos ptaka udać, a ptaki ze swej strony tak mu dają odzierać swą miłość, że każdy da mu się do ręki schwytać. Opowiadał mi nasz zacny kierownik szkoły, przyjaciel p. Kubisza, jak pewnego razu wyszli do ogrodu i tu słyszą cudny śpiew słowika, poeta nasz wnet go naśladuje, a miła ptaszyca w tejże chwili spada na jego ramię. Fakt ten jest prawdziwy“.

Zawalenie się wieży w Wenecji. Wenecja, miasto położone nad morzem Adrjatykiem we Włoszech północnych, jest miastem szczególnem tak co do swoich dziejów, jak budowy. Ulice jego są to kanały morskie, w których przeglądają się wszystkie domy, pałace i kościoły, a po których ludzie z ulicy na ulicę, z domu do domu jeżdżą łodziami.

Wenecja, dzięki położeniu swemu w pięknej a dogodnej zatoce morskiej, dzierżyła przez kilka wieków prawie cały handel Europy w swoich rękach, stopniowo zaś, dzięki temu handlowi, doszła do takiej potęgi pieniężnej, że posiadała w swych murach fabryki najwykwintniejszych wyrobów złotych, jedwabnych i t. d., wyrobami temi zalewała świat ówczesny, dwory królewskie, pałace magnatów. Nic też dziwnego, że z upływem wieków Wenecja, jako jedno miasto, stała się potężnym mocarstwem, a jej wybieralni naczelnicy, zwani dożami, niejednokrotnie dyktowali swoje prawa królom, z których jednym wojskiem swem pomagali, a drugich stracali z tronów.

Ale przyszedł i na potężną Wenecję czas upadku, a w różnych kolejach dziejowych stała się ostatecznie częścią zjednoczonych Włoch. Jedno wszakże po dawnych świetnych czasach pozostało Wenecji — to bogate domy, pałace i kościoły, które w podziw wprawiają nie tylko swym ogromem, kształtami i pięknymi ozdobami, ale i temi dziełami sztuki, które się mieszczą między ich ścianami.

Do tak pięknych dzieł sztuki budowlanej, rzeźbiarskiej i malarskiej, należy tu starożytny pałac dożów, kościół św. Marka, wieża obok niego, a dokoła niej różne pomniki.

Owoż niedawno, dnia 14-go lipca b. r., jedna z tych pamiątek, mianowicie wieża św. Marka runęła.

Zaczęto ją budować około r. 900 po Narodzeniu Chrystusa, a budowano przeszło lat 400. Nie załowano niczego: cegieł, marmuru, pomysłu najlepszych budowniczych, aby wieża ta, która była zarazem dzwonnica, była nie tylko piękną i osobliwą przez swą wysokość, ale żeby zarazem stała się strażnicą i drogowskazem dla pływających po Adrjatyku okrętów.

Wysokość tej wieży wynosi 57 sążni, gdy obwód zrębu zaledwie 22 łokcie. Dolna jej część — ciężka, była bez okien, a dopiero nad nią wznosiła się wieża o kształtach ostrołukowych. U podstawy tej wieży w r. 1540-tym najświetniejsi w owym czasie artyści wybudowali pałacyk — istne cacko, pełne rzeźb najpiękniejszych i obrazów.

I oto teraz i wieża ta i pod nią pałacyk, runęły.

Z powodu runięcia wieży św. Marka weneccjanie są w wielkiem zmartwieniu i postanawiają sobie odbudować ją. Rada miasta uchwałała już nawet na ten cel miljon lirów (około 300 tysięcy złr.) i ze wszystkich też stron płyną hojne datki.

Godne uwagi i rozważ. Gazeta, wychodząca na Górnym Śląsku, pod tytułem: „Górnoślązak“, odzywa się do rodzin polskich na Śląsku, by dzieciom na chrzcie dawały szczerze polskie imiona, jak: Mieczysław, Bolesław, Kazimierz i t. d., a unikały imion, które mają niemieckie brzmienie, lub na niemieckie przekształcić się dadzą. Przestrzega też, aby poprawnie pisano nazwiska familijne, a nie wprowadzano w nie pisowni niemieckiej, jak to często się dzieje.

Widzimy więc, że tam, pod zaborem pruskim, nie lekceważą żadnej, nawet pozornej drobnostki, a statecznie na każdym kroku stawiają czoło germanizacji.

Korespondentka zaś „Gazety Polskiej“, wychodzącej na Górnym Śląsku w Zabrze, przytacza następującą charakterystyczną rozmowę: „Byłam w okolicy Gliwic. Przyjęta serdecznie przez jednego ze światłych włościain i niemniej dzielną jego żonę, zapytałam o imiona dzieci, których piękne i inteligentne twarzyczki zwróciły moją uwagę.

— Maks, Adela, Stanisław i Wanda — odrzekła ładna gosposia, a po chwili odrzekła ze smutkiem:

— Pochowaliśmy niedawno ostatnie, małą Bronisławę.

Zastanowiła mnie różnica w imionach dzieci: dwoje starszych miały imiona obce, niemieckie, a młodszych troje nasze imiona polskie.

— Skąd pochodzi taka różnica? — zapytałam rodziców dzieciarni.

— A, bo wiedzą, starsze dzieci są z tych czasów, gdy byliśmy jeszcze głupi, a te młodsze dał nam Bóg, gdyśmy już zmądrzeli — odrzekła z pewną dumą gosposia.

Prześladowanie dzieci polskich. W Poznaniu zamknięto na rozkaz rządu pruskiego „Przytulisko dla dziatek szkolnej“. Rzecz pro-

sta, że jest to wielką krzywdą dla matek, które z całym zaufaniem oddawały dzieci swe do „Przytuliska“. pewne, że znajdują one tam godziwą rozrywkę i pieczołowitą opiekę, a w dodatku jeszcze podwieczorek, co wobec niedostatecznego odżywiania się ludności robotniczej, tembardziej jej dzieci, nie jest bez znaczenia. Nie dziwnego zatem, że matki za pośrednictwem pism prosiły panie, dotąd „Przytuliskiem“ się opiekujące, o dalszą nad dziećmi opiekę. Na skutek prośby tej, ogłosiła p. Aniela Tułodziecka, że, jako prywatna a niezależna osoba, dziećmi zajmować się będzie, żeby więc matki, mające do niej zaufanie, dzieci pod jej opieką zostawiały. Ale już nazajutrz przybył na salę, gdzie dzieci się zgromadziły, komisarz z zapowiedzią, aby dzieci nie ważyły się nadal na sali zgromadzać, a gdy dzieci pomimo to przyszły, przybył komisarz w towarzystwie policjanta i pod groźbą wyrzucenia dzieci przez policyjantów, rozkazał im natychmiast opuścić salę.

A więc nawet niewinnych uczynków miłosiernych nie pozwalają pełnić władze pruskie. Te władze wola, aby dzieci robotników, pozbawione opieki z powodu całodziemnej pracy rodziców, spędzały czas na ulicach!

Włosianie — Sokolami. We wsi Bieńczycach w powiecie krakowskim zawiązało się towarzystwo „Sokol“. Budują tam włosianie salę „Sokoła“, gdzie, oprócz ćwiczeń, odbywać się będą także zebrania i uroczystości narodowe, gdzie będzie pomieszczona czytelnia i wypożyczalnia książek. Są propozycje utworzenia w Bieńczycach nawet teatru wiejskiego i chóru włosiańskiego.

„Sokol“ wiejski będzie miał utworzony odmienny rodzaj gimnastyki, oparty częściowo na wzorach szwajcarskiej gimnastyki ludowej. „Sokolom“ w Bieńczycach zezwolił Związek używać jednolitego stroju miejscowego z tą odmianą, że podczas występów sokolich, do czerwonej krakuski zamiast piór pawich ma być przytwierdzone przepisane pióro sokole. Bieńczyccy „Sokolowie“ odznaczyli się sprawnością na Zlocie I. okręgu sokołego, który się odbył w Krakowie w końcu czerwca b. r.

Hodowla drobiu. Ministerstwo rolnictwa zarządziło badania, celem obmyślenia środków, wiodących do podniesienia hodowli drobiu, tej ważnej gałęzi gospodarstwa rolnego. Jak wielki dochód przynosi chów drobiu, wykazują daty statystyczne. I tak: w r. 1894 wywieziono z Austro-Węgier drobiu i produktów hodowli drobiu za 53 milionów złr.; przywóz zaś ograniczył się na cyfrze 9 milionów złr., a więc hodowla drobiu wykazała dochód w kwocie

44 milionów złr. W r. 1900 wywóz wynosił 69 milionów, przywóz 19 milionów złr., a więc uzyskano 50 milionów guldenów, czyli 100 milionów koron. Z kwoty tej wypada na drób przeszło 7 milionów złr., na jaja prawie 36 milionów, na pierze i inne produkty hodowli drobiu 7 i pół miliona złr.

Wobec takich dat statystycznych ważność hodowli drobiu jest sprawą, nie potrzebującą długich dowodzeń



Odpowiedzi od Redakcji.

Drogin Czytelnikom, którzy mnie zapraszali do swoich wiosek na lato, serdecznie dziękuję za uprzejmość. Radabym z całego serca wszędy zajrzeć, wszystkich Was zobaczyć, ze wszystkimi pomówić, naradzić się, — ale cóż, kiedy w tym roku nie mogłam ani na jedną godzinę wychylić się z dusznego miasta na śliczny świat boży. Tak się złożyło.

Pp. Paweł Ferjecki, Jerzy Plinta, Józef Kubiś, Karol Kozieł, Jan Kuś, Jan Szteter w Ustroniu. Na „Anielską“ ludzie miewają widocznie anielskie serca, a na „Zielną“ kwitną im w duszy braterskie dla bliźnich uczucia. Tak myślałam sobie, odczytując drogie Wasze kartki z Cieszyna i Wisły. Dziękuję Wam, szanowni i mili Czytelnicy, za te dowody przyjaźni, — dziękuję wprawdzie nie tak

głośno, jak głośno grają wymowne tam u Was trąby, ale za to bardzo szczerze, bardzo gorąco!

P. Fr. Chmielowski w Rudniku. Nie tak nie pokrzepia, nie bardziej nie cieszy w pracy, jak życzliwość ludzka. To też proszę przyjąć wyraz prawdziwej wdzięczności i za życzliwe słowa i za opiekę nad gazetką!

P. J. Godłowski w Cieszynie. Sama obietnica już posiada moc sprawienia wielkiej radości, a cóż dopiero będzie, gdy się ona w czyn zamieni. Dziękuję! Wszelakiej pomyślności w nowym roku szkolnym!

P. Ludwik Chmura w Dąbrowce. Gazetkę siostrze posyłamy regularnie. Jakkolwiek wiemy i skądinąd i od przeznaczonego ks. Ortweida, jak wielu jest Polaków w Danji, siostra Wasza, Panie, pierwszą jest czytelniczką „Zorzy“ w tym kraju. Niechże jej się tam dzieje jak najlepiej. Prenumerata zagraniczna z powodu droższych marek wynosi 42 centy.

P. Andrzej Gorczyca w Głowiec. Mogę zaręczyć, że i „Zorza“ w długu nie pozostaje i z radością śpieszy tam, gdzie ją mile witają. Więc i do Waszego domu, obłożonego deskami, wstępuje z powitaniem braterstwem i składa serdeczne życzenia, aby one deski zmieniły się wnet pod pracowitą Waszą ręką, Panie, w piękne i użyteczne przedmioty. A za pilne czytanie osobno dziękuję.

P. Fr. Kurc w Frysztać. W Wasze ręce, Panie, życzliwe dla gazetki, a nieznużone, gdy chodzi o pracę dla przyszłości, składam pozdrowienie dla wszystkich miłych Czytelników we Frysztaćkiem. Oby stary zęgar na wieży Piastowskiej wydzwaniał im jeno same pomyślne godziny.

P. Pł. w Krakowie. Czy wiersze ładne? Jakże mam odpowiedzieć na to pytanie? Wszystko wskazuje, że autor jest jeszcze bardzo młody, więc ma dość czasu, aby się uczyć, doskonalić i kiedyś z pewnością będzie ładnie pisał. Opowiadanie prozą byłoby dobre, gdyby nie podobieństwo do powiastki A. Gruszeckiego na ten sam temat. Proszę się jednak nie zrażać — każdy zaczyna od naśladowania. Powodzenia w pracy i dobrych zamiarach żyję szczerze.

Jan Trąbka w Krowodrzy. Do podziękowania za artykuły i listy łączę szczerze życzenia, aby się Wam, Panie, wiodło jak najlepiej

po wyzwoleniu na własnym chlebie. Ale chyba wszystkim pójdzie dobrze, skoro ręce umieją pracować, głowa myśleć, a serce czuć zacie.

P. Halemiak w Kotłoyi. Zamówienie do porządku jest nader piękną enotą. Oby się krzewiła wśród wszystkich czytelników „Zorzy“. Mamy nadzieję, że roczniki „Zorzy“ doszły niezgięte i nienuszkodzone. Wyrazy pozdrowienia nowemu czytelnikowi.

P. Jan Watach w Ligotce. Pierwszy rocznik wysłaliśmy. Cieszę się szczerze, że „Zorza“ Wam się podoba. Powodzenia w pracy serdecznie życzymy.

P. Franciszek Orawiec w Poroninie. Dziękuję za łaskawe spełnienie prośby. Więcej już nie trzeba będzie. Życzenia takie szczerze i serdeczne, jak Wasze, Panie, spełniają się chyba zawsze, wierzę w to mocno.

P. Józef Goraj w Dzikowie nowym. Nie a nie się tem nie trapię, że „Zorza“ nie od razu przypadła do serca, bo przyjaźń, zawarta po dłuższej znajomości, bywa najtrwałsza. Gazetka ze swej strony starać się będzie zasługiwać i nadal na miłą nazwę „pociechy“.

P. Józef Mahorowski w Kohatynie. Oba roczniki „Zorzy“ wysłane. Za życzliwość szczerze podziękowanie.

P. Józef Mazur w Brzeżanach. Adres, pod którym się nabywa książeczki „Przyjaciół oświaty“, taki sam, co i „Zorzy“.



Od Administracji.

Nowi Czytelnicy mogą nabywać dawne roczniki „Zorzy“, a mianowicie:

wszystkie numera z r. 1900 — wraz z przesyłką — kosztują 20 centów;

wszystkie numera z r. 1901 — wraz z przesyłką — kosztują 32 centy.

Oba pierwsze roczniki „Zorzy“ zdołają liczne ładne obrazki.



TREŚĆ: Rajska pasterka. — Co więcej kochać?... — Skrzypki grają — bieda gra... — Zaścianocze. — Pogadanka naukowa. — Listy do „Zorzy“. — Roznaitości. — Odpowiedzi od Redakcji.